

ANNA KAJTOCHOWA



BEZDROŻEM ŚCIERNISKA

Anna Kajtochowa

BEZDROŻEM ŚCIERNISKA

Wybrał, opracował i wstępem opatrzył
Eryk Ostrowski

Kraków 2003

© Copyright by Anna Kajtochowa, Kraków 2003

© Copyright by WiR PARTNER, Kraków 2003

Ilustracja na okładce: Anna Ostrowska

Projekt i wykonanie okładki: Violetta Zygmunt

Fotografia Anny Kajtochowej: Piotr Rutkiewicz

Fragment *Posłowie* Jerzego Romana Jaglarza pochodzi z tomu *Sytuacje*, Beskidzka Oficyna Wydawnicza BTSK, Bielsko-Biała Wadowice, 1983

ISBN 83-912803-7-3

Wydawnictwo i Reklama PARTNER
ul. Jontkowa Górka 18a
30-224 Kraków
tel. (+12) 425 30 95
e-mail: partner@targi.com

Druk: Zakład Graficzny COLONEL

BEZIMIENNE POTOKI MÓWIĄ*

Nie chcę otwierać
furtok nocy
przed światłem
gwiazdy strzelistej
Chcę zostać w cieniu
gdzie można dotknąć
trawy i wody czystej

Jak mówią. A może są nieme. I tylko pragną „orzeźwić storezyk obolały / tchnąć trochę mocy / w martwe trzęsawisko”. Potem już potok „milknie we wrzosach / w gęstwą mchu umyka”.

Trudno mówić mi o tej książce, jak trudno w ogóle jest mówić o uczuciach, a do nowych wierszy Hani mam stosunek emocjonalny, osobisty. Trafiły na grunt już we mnie przygotowany, w wyjątkowo bolesnym czasie i – koily.

Znalazłam ptaka,
miał złamaną nóżkę
i złamane skrzydło.
Przyłgnął do mojej dłoni
i uśmiechnął się oczyma.
Czyżby ujrzał
w niej światło?

I brałem to do siebie, nie zastanawiając się, czy przypadkiem nie o to przede wszystkim chodzi w poezji. I nie było też tak dlatego, że Hania nie od dziś jest mi kimś najbliższym spośród bliskich, także jako poetka.

*Tekst wygłoszony 29 kwietnia 2002 r. podczas wieczoru autorskiego Anny Kajtochowej w Śródmiejskim Ośrodku Kultury w Krakowie.

Udało mi się zrealizować jedno z marzeń, jakim było wydanie wspólnej książki. W ten sposób powstały *Wędrówki o świecie. Opowieść o Annie Kajtochowej*, książka, którą także napisałem dla siebie, na późniejsze lata, bo wtedy gdy powstawała byłem bardzo młody i nie znałem, nie mogłem znać, problemów, o których tam pisałem. Może zawsze było też odrobinę tak, że każdą kolejną książkę Hani traktowałem jak własne poetyckie dziecko. Tym razem jednak było inaczej, to ja byłem dzieckiem, kalekim ptakiem w chwili, gdy po raz pierwszy dotarły do mnie te wiersze. „Znalazłam ptaka” mówi Hania. Może nie powinienem się więc wypowiadać na temat nowego tomiku Anny Kajtochowej. Książka z pewnością zasługuje na krytyczne omówienie, czego ja zrobić nie potrafię, nie tym razem i – wobec tych wierszy nie stać mnie na obiektywizm. Choć pewnie nigdy nie mógłbym ich napisać, są bardziej moje niż to było kiedykolwiek w przypadku wierszy tej poetki.

Nie umiem śmierci. Czy Hania umie? Zapomnijmy na chwilę o tym, co zostało powiedziane jeszcze w poprzedniej książce, powiedziane z odwagą, mocnymi słowami, co czyniło tytuł tamtego zbioru niemalże paradoksalnym, gdyż w tajemnicach duchów zdawała się być tam poetka bieglesza niż niejeden z nas. Zapomnijmy teraz, gdy oto po raz pierwszy może odczytujemy przyznanie się do swej niewiedzy, do lęku. Bo bezradność tej otwartości to jedyna prawda na jaką nas stać i w tej książce została ona najpełniej wyrażona, mimo (a może właśnie dlatego?), iż najprostszymi słowami:

Rankiem w lesie

śnieżyczki
drżą z zimna
rozchylają płatki
na spotkanie słońca

Jak wspomniałem, zetknąłem się z nowymi wierszami Anny Kajtochowej w bardzo trudnym dla mnie okresie, kiedy to po raz pierwszy przyszło mi oswoić swoją codzienność z obserwacją czyjś odchodzenia. Jesienią ubiegłego roku Hania miała pierwszy po dłuższej przerwie wieczór autorski w krakowskim Podgórzu, w ramach poetyckich spotkań z poezją Konfraterni Poetów, której pozostaje członkiem od wielu lat. Czytała fragmenty swej nowej powieści i wiersze. Pamiętam swoje zdumienie faktem, iż poetka zaprezentowała całkiem nowy, obszerny materiał. Kiedy powstał, zadawałem sobie pytanie. Przecież od chwili wydania zbioru *Nie jestem biegła w tajemnicach duchów* w 2000 roku, książki niezwyklej, do której miałem przyjemność pisać przedmowę, byliśmy w stałym kontakcie. Często spotykaliśmy się, czy to na wieczorach autorskich, czy też bardziej prywatnie w pełnym książek mieszkaniu poetki. prowadząc długie rozmowy przy dużym, okrągłym drewnianym stole w jej jasnym pokoju, popijając wodę mineralną lub sok pomidorowy. I podczas tych rozmów, kiedy nierzadko była mowa także o nowych planach wydawniczych, nigdy nie wspomniała poetka, iż ma nowe wiersze, co więcej – ma ich wiele, i że są one całkiem odmienne od tego, co zawarła dotychczas w swych dziesięciu tomikach poetyckich, ogłaszanych raczej regularnie od 1983 roku. Po jesiennym wieczorze autorskim Hani byłem więc tyleż szczęśliwy, co i zaskoczony tą przemianą, która zaszła w jej twórczości, twórczości którą śledzę z uwagą od kilku dobrych lat. Powiedziałem o tym poetce, która moje spontaniczne i chaotyczne, pełne wykrzykników komplementy przyjęła, jak zawsze, z pobłażliwym uśmiechem. Hania bowiem stale i niezmiennie podkreśla swój dystans wobec tego, co umownie nazywamy poezją. W jej ujęciu poezja winna realizować samo życie, niczego nie udawać, nie próbować zamykać istnienia

w określonych ramach, bowiem wtedy nietrudno już o rozmijanie się z tym, co autentyczne. Stąd w dorobku poetyckim Hani tak często obcujemy z formą poetyckiego reportażu, rezygnacją z metafory, która może wobec życia być tak bezradna, jak i zbędna (vide: trauma choroby ukazana w ostatnim tomie). Byłem jednak bardzo szczęśliwy poznając nowe wiersze Hani. Może przesiąknąłem ich spokojem i zapatrzyłem się w ich odległy horyzont? To dystans, który był mi w tamtym okresie bardzo potrzebny. Realizowałem właśnie ostatni tom poezji Joanny Salamon, *Anioł czasu krąglego*. Odpowiedzialność była tym większa, iż miałem świadomość, że pracuję nad pierwszym po długiej przerwie (21 lat) zbiorem wierszy znakomitej, odchodzącej już poetki, praca ta wymagała pełnego zaangażowania. I rzeczywiście w jakiś sposób nowe wiersze Hani trafiły we mnie na grunt już wcześniej przygotowany. Przez ból, zmęczenie. Przez lekturę nowych wierszy Joanny. Pomyślałem, że w wierszach Hani, choć nie ma mowy o umieraniu, ani o tęsknocie jest coś, co je łączy z ostatnimi wierszami Joanny; tym czymś jest właśnie ów dystans, spojrzenie, na które stać tylko bardzo dojrzałych, wewnętrznie ukształtowanych przez los ludzi. Poprosiłem Hanię o maszynopisy nowych wierszy, chciałem je mieć nim ukaże się książka, chciałem też pokazać wiersze Joannie, która, wiedziałem, książki tej już nie zobaczy, a wiele jej o nowych wierszach Hani opowiadałem. I pamiętam też moją późniejszą rozmowę z Joanną, gdy już zdążyła się z nimi zapoznać. Poruszyła ją podjęta przez Hanię problematyka, rzeczywiście nowa u niej, jeżeli pojawiająca się dotychczas, to pojawiająca się śladowo. Nowe wiersze Hani oddziałują silnie i tym, co o tym decyduje może być zestawienie prostoty języka, lekkiej śpiewnej frazy z wagą podejmowanych pro-

blemów, co nieraz może nawet brzmie ironicznie, choć tak wcale nie jest. Istniała zatem ta poczta na długo przed tym, nim trafiła do mych rąk w postaci tej pięknej, ukształtowanej już książki. Bardzo skromnej książki, skromnej jak jej okładka, przypominająca jakąś nadmorską widokówkę sprzed lat. Możliwe nawet, iż ten tomik nie wzbudzi takiego poruszenia w czytelnikach, jak poprzedni. Sam także zastanawiałem się jeszcze niecałe dwa lata temu, gdy wyszedł zbiór *Nie jestem biegła w tajemnicach duchów*, czy Hania będzie mogła jeszcze w ogóle coś napisać. Bowiem w tamtej mrocznej książce znalazło się miejsce dla wszystkiego, co w życiu jest najważniejszym i sam proces życia został uważnie i wyczerpująco prześledzony. Myślałem wówczas, że po takim zbiorze, przyjętym zresztą też niezwykle entuzjastycznie przez czytelników i krytykę, można już tylko zamilknąć i odcinać przysłowiowe kupony. Cóż bowiem można jeszcze powiedzieć po tym, gdy powiedziało się wszystko? Wszystko, co jest ważne. Ale czy rzeczywiście wszystko? Bo tak myślałem; że to z pewnością wszystko, skoro śmierć tam pokazano, kruszenie życia dzień po dniu. Tymczasem poza śmiercią istnieje coś jeszcze, co może nie jest tak jaskrawe, ale jest tą jedyną prawdą, na jaką nas stać. Lęk łagodzony pewnością. Bo słońce zawsze wszędzie. Musi wejść. Dyktans do świata, ponieważ moc tkwi właśnie tam gdzie najmniej się jej spodziewamy.

Co boskie we mnie
Twoim jest Panie
skryte głęboko
w przedziwnym śnie
Obce dla świata
jasne dla stworzeń

niezrozumiałe dla
samej mnie
Jawi się we dnie
ożywa nocą
każe się cieszyć
minutę dwie
cichnie jesienią
wybucha wiosną
ciągle ku innym
skłania mnie

A może tylko
żyję snem?

Właśnie: *Żyję snem*? Zwraca uwagę ten tytuł, szczególnie wyrazisty staje się po uważnej lekturze otwierającego wiersza: „Obce dla świata / jasne dla stworzeń / niezrozumiałe dla / samej mnie”. Bo co to właściwie znaczy? – Obce dla ludzi, więc także dla samej autorki, a bliskie stworzeniom... Jeszcze jedno świadectwo jedności z przyrodą? Hania modli się:

Ubiczowana Ziemi:
smagana kołami
pofałdowana ciężarem
wozów

Ty stworzona do
pieszczoty ludzkich
stóp i dłoni
karmicielko roślin
kwiatów Ostojo drzew
fundamencie przyrodniczego
bytu O ziemi niszczona

I czym to wszystko? Ta śmierć, o której Hania pisała już tak wiele, ta, na którą tak długo sam patrzyłem, czym? Nie wiem i nie jestem pewien, czy znajdę tu odpowiedź. Ta książka zresztą nie ma wcale ambicji jej dać, a temat śmierci... omija. Omija prześlizgując się jakby obok. Bo zamieszczone tutaj wiersze, zdawałoby się, bliskie śmierci, tak naprawdę mówią o życiu, tylko o życiu. Jak *Odchodzącej* dedykowany Joannie Salamon; wiersz, o którego istnieniu Joanna wiedziała i była tym faktem bardzo wzruszona. Jak *Pożegnanie*, piękny liryczny dialog z niedawno zmarłym poetą Wiesławem Kolarzem:

Tyś teraz w ziemi.
Kiedyś powiedziałeś:
„kraży w Twoich żyłach
nie nas nie dzieli
ni niebo
ni piach”
Żyliśmy dotąd
żyć będziemy nadal
„w ciepłych kroplach głogu”
na ziemi kwitnących jabłoni

Wiersze, które ukazują to życie w różnych zatrzymanych kadrach, jak *Portret z pamięci*, czy *Wspomnienie sąsiadki*:

Pani Jeszke z miłością
kładzie dłonie na
zielonej fali jedwabiu
przetyka ją białą wstążką
i rumiankiem guziczków
Pani Jeszke w ogródku
pełnym bzów wiruje nad
ulicą Monte Cassino

(dawniej Skolickiego)
wspomnieniem wyciętych
drzew i oddechem domów
żywcem wziętych do nieba
podczas kolejnej
przebudowy naszej dzielnicy

Jak wiersz *Tramwaj poezji*, w którym tylko gromadzą się chmury na jeszcze jasnym niebie Jerzego Harasymowicza. Czasami z tonu wypowiedzi lirycznej przebija ironia, gdy mowa np. o masowej zagładzie 11 września. Ale i to także są kadry z życia, przypominają przerwany film, o wielu najróżniejszych obrazach. Bo do takich wierszy należy także i ten o Ogrodzie Botanicznym, niezwykle śpiewny, w którym do perfekcji doprowadziła Hania sztukę ulubionego w latach ostatnich wiersza-reportażu. Takim jest również *Obrazek z kobietą na tle*:

Lśni słońcem woda
krzyczy zielenią roślinność
sunie bielą po stawie
łabędzi majestat
a w cień drzew
zapada spokojem
samotność pani Anny

Jaki jest ten sen, jakie życie – o tym nigdzie wprost nie ma mowy. Hania konsekwentnie ukazuje je w kolejnych obrazach, czasem bardzo prostych, mówiących tylko o tym, że ono jest „i trwa i trwa”, jak ten koncert E-mol Chopina. W wodzie jest słońce, w barwnym pejzażu krzyk. Spokój jest w cieniu. Przez wiersze przewija się też tematyka moralna. Intrygujący wiersz *Czarna Święta*, traktujący o nietolerancji religijnej powstał jeszcze w 1969 roku, ale dopiero teraz uka-

zuje się drukiem. Religijna – tu zwraca uwagę niewyodrębniony cykl utworów o tej wymowie otwierający książkę, obejmujący między innymi takie wiersze, jak cytowany już na wstępie *Co boskie we mnie...*, *A Miriam pośród jaskólek* (śpiwny na nutę Iłakowiczówny, której *Szeptem* Kajtochowa bardzo bywa bliska w tym tomie i to nie tylko poprzez charakterystyczną melodię nowych wierszy, także przez zajmujące ją problemy), *U nóg Chrystusa...*, *Wizja*. Są to także wiersze bardzo malarskie, jak choćby ten krótki:

W cieniu skrzydeł
zgromadził anioł
całe światło nieba
I teraz rozsiewa
po ziemi
złociste naręcza
pierwiosnków

Malowane delikatną kreską, ich śpiewność nigdy nie jest ni nachalna, ni sztuczna, raczej spontaniczna, a więc prawdziwa, subtelnie uwzniośla podjęty temat, jak trzecia częśćka poematu o Miriam:

A Miriam miała tyle mocy
że trwała jeszcze o północy
przy bólu krzyża
przy krwi Jezusa
spływającej miłością
„żadnych słów ni żadnych głosów
krew z korony Bożej spływa
wobec ziemi i niebiosów
stała Matka Bolesciwa”

Miriam u stóp Krzyża

Autentyczne, bo poświadczające niespełnienie pewnych własnych dawnych marzeń, są również utwory poświęcone sportowcom, których zaskakującą pointę tworzą dwuczęściowe *Wariacje kolarskie*, ukazujące codzienne zmagania na... kinezyterapii. Zawsze jednak ból w tej poezji zastępuje nostalgia, czasem, rzadziej, ironia. Może to jest smutek, ale ta melancholia nie rani, nie boli już, gdy się wspomina, i nawet najtrudniejsze chwile, jak surowe dzieciństwo opisane przez Hanię w naturalistycznej powieści *Babcia*, łagodnieje w tej książce, przejrzyście. To zresztą osobna wartość tego zbioru, bowiem po latach powróciła poetka w swych wierszach do rodzinnych stron. Długo te wątki pozostawały w jej twórczości jakby nieobecne, zamilkłe. Teraz już nie wołają, raczej po prostu są, trwają. Przywołują je przypadkowe obrazy:

Zza zakrętu drogi
wyłania się
leśna sadyba
wyrażna czytelna
tablica głosi
NADLEŚNICTWO W BRZOSZOWIE
ciepły gest
bliskiej dłoni
oddech dzieciństwa
tylko tyle i aż tyle

Obrazy widziane przez dziecko, uchwycony moment zagrożenia, choć w poetyckim ujęciu i dziś pełen jest niepokoju i trzyma w napięciu, pozostaje jednak już tylko obrazem, kolejnym zachowanym kadrem oddalonego przez czas, więc nie wzbudzającego trwogi, filmu (*Misterium*). To, co pozostało i trwa jest zatem dobre. I spokojne. Potwierdzają to zamykające tom wiersze *Po wyprawie*

w *Bieszczady, Rankiem w lesie, Bukiew, Niemy potok*. Pozwalają tam być, znów znaleźć się. Być może to jest życie, ten moment, gdy patrzymy na San, wsłuchujemy się w szum fal zdających się szeptać:

mroczny dostojny
groźny głazami na dnie
toczy falami młyńskie kamienie
burzą rwie brzegi
porywa drzewa i chaty

ale gdy się uśmiechnie
przeźroczem wody
i srebrem rybich łusek
nie masz większego przyjaciela
lasów zwierząt ludzi

Tak. Właśnie. I to także jest o nas. W nas, głęboko zakorzenione. Nie wiem dlaczego te wiersze uspokajają, bo kiedy przyjrzeć się im, każdemu z osobna, tak bardzo wyraźnie widzi się ten smutek. Nie ból, ale smutek. Jak chyłące się ku szosom okaleczone iwy, bezimienne potoki, które może to jedyne, o czym warto wiedzieć unoszą ze sobą w zarośla przydrożnych rowów, potem giną wśród zagajników, w lesie i – pozostają nieme. To smutek mglistego świtu nad polami, pewnego dzieciństwa, dawnej prośby pewnego dziecka. O tym mówi Hania w *Biedronce*, wierszu dziecięcym, aczkolwiek nie przeznaczonym dla dziecięcego odbiorcy. Tutaj poetka zwraca się do dziecka w sobie, które, choć czas jego minął bezpowrotnie, jest przecież, żyje, pamięta swoje smutki. Koi jego dawny ból:

na kruchych skrzydełkach
unoszi uśmiech słońca

i prośbę dziecka
„Boża krówko
leć do nieba
przynieś mi
okruszek chleba”
a jesienią
zasypia w listowiu
okryta
kołdrą w kropeczki

Ale na tego rodzaju „naiwność” trzeba długo czekać i może też nie każdy przygotowany jest na jej przyjęcie. Może trzeba przeżyć wielką stratę i bardzo cierpieć, aby zrozumieć, że w tej prostocie oczywistość jest tylko pozorna, że o nią najtrudniej:

Trochę skały
trochę nieba
niewiele słoty
garstka snu

i urosła omszała
na skalnej krawędzi
mocna jak limba
ciepła atłasem mchu

Ta szarotka, „nieosiągalna dla mieszkańców dolin”, której wystarczy „garstka snu”, będzie może odpowiedzią na postawione w tytule książki pytanie. Lecz każdy musi dojść do tej odpowiedzi sam i oby mógł zdecydować, czy chce ją poznać. Nie musi jednak od razu decydować się, może po prostu wejść w ten świat, wyciszony, łagodny; oglądać, zdawałoby się znajome, lecz dawno niewidziane pejzaże. Bo kiedy Hania mówi: życie, mówi bardzo wiele.

Nowy zbiór wierszy Anny Kajtochowej to bardzo intymna książka, i nie przed każdym otwarta. Może pozostać niedoceniona, niezrozumiała. Ale może nie należy też życzyć nikomu, aby w pełni te wiersze zrozumiał. Cena za to bywa bardzo wysoka.

Eryk Ostrowski

O słowo
miej siłę wiatru
miętkość mgły
oddech oceanu

śpiewaj radość smutnym
daj odpoczynek znużonym
ostudź myśli szalonych

Pada śnieg
kroplami ciszy
na mokre plamy asfaltu
czarne kominy
dachów z naprzeciwka
w obrysy drzew
z pękającymi pąkami
w letnią zimę
pada
biała cisza
dzwoni w uszach
wspomnieniem dzieciństwa
o przedwiośniu z płatami lodowca
nad ukrytą w gęstwinie śnieżyczką
uśpionym w jarze zawilcem
i niebieską przylaszczką
w sąsiedztwie jałowca
mokra cisza
nad wieczorną ulicą
niesie zapach i obraz
przecież
bezpowrotny

Były niegdyś wędrówki o świcie

Na promieniach układałam stopy
O źdźbła żytnie opierałam dłonie

W wodach niebo kryło płat błękitu
Spięty klamrą zblakłego księżycy
Zatem chciałam ubrać siebie w niebo

Mlekiem pachną orosiałe trawy
I mrocznieją krzewy w wąskim jarze

Teraz miedza powiedzie nad stawy
Nieprzytomne od żab i kumkania

Szukam kęp mchu i krwawnika
By nie deptać
Snu barw kolorowych
Ale za mną podążają krowy
I w ich pyskach piękno łąki znika

Jest we mnie smutek nienarodzenia
Bezsilność źródła w piaszczystym podglebiu
Milczenie larwy w kipiącej topieli
Los ziarna – więźnia pustyni

Jest we mnie bezradność trwania
Plemienia Ona z czasów Magellana
Pustka namiotów lodowiec popiołów
Umilkłe echo wyśpiewanej pieśni

Opadłe ręce Jej – ostatniej z rodu
W krzepiącym goście wreszcie powitania
Tylu znękanych wiekami pochodu
do miejsc rodzinnych dawno spustoszonych

Jest we mnie spokój umierania
Chwiejność każdego następnego kroku
Pełnia bilansu co dnia zestawiana
I wciąż od nowa wskazująca zero

Pewność przegranej przy pierwszym rozdaniu
I gra beznamiętnie kontynuowana

Jest we mnie cisza
wiosennego lasu
i skwar południa
dojrzałego lata
niepokój świtu
i niepewność nocy
smutek szarugi
i jaskrawość słońca
Jest we mnie wulkan
który nie wybucha
i pełna bólu
niestygnąca
lawą

Wciąż trwają we mnie tamte dni
Mieszają wszystkie poplątane sprawy
Koszmarem męczą niewyśnione sny
Kosy ścinają pulsujące trawy

Kłonią się drzewa nad maliniakiem
Łysym wyrębem pełźnie żmija

Szkielet gałęzi pozbawionej kory
Mianuję różdżką – odkrywczynią wody
Ściągam nią burze – huczą piorunami
Widzę kulisty – pulsuje nad nami

Martwieje księżyc
I dalej wrze burza

Misterium

Skwar południa w lecie
Zboże chrzęści pod sierpem
źdźbła drżą w okiściach dłoni
Cierpną mięśnie oczy zalewa pot
Ziemia drży spiekotą w bólu zbożobrania
odurza zapach polnych ziół
Na polu sąsiada kosa dźwięczy śpiewem

Nagle za lasem
poczerniało niebo
ku słońcu pędzi
czarnobury zwierz
Nie zdążysz dobiec
pod osłonę drzewa
na skórę żarem spaloną
spada ciepły deszcz

Strugą płynie po włosach
zakamarkach ciała
pod stopami ziemia
zamieniona w maź
Chronisz głowę w ramionach
Wyżymasz odzież
do każdej nitki
dotarł kropli grad

Już słońce świeci
Tęcza koloruje twarz

18 II 2000

Kiedy myślę
Ojczyzna
pachnie suszone siano
i chlebny zapach
ściele się u nóg
olcha gubi
owoce w płynącej
łakami wodzie
a wiecznie zielona
sosna sięga sufitu
strojna świątecznie
w staniol i róż

Kiedy myślę
Ojczyzna
księżycy uśmiecha się nów
i hufce rycerskie
budzą się
nagle wśród gór
i nie mogą
pokonać snu
gdy ich wzywają surmy
tu i teraz
Wszystko się dzieje na niby
Prawdziwy jest tylko ból
pokoleń
zrodzonych wśród
lasów i pól

22 VI 1998

Ziemio naftą płynąca
przetykana źrenicami stawów

czerwona w rozpadlinach
czarna w debrzach i stawach

ziemio słodka owocami bukwi
gorzka smakiem jagód

wiecznym ogniem wirujesz
w mroku mej pamięci

Ubiczowana Ziemia:
smagana kołami
pofałdowana ciężarem
wozów
Ty stworzona do
pieszczoty ludzkich
stóp i dłoni
karmicielko roślin
kwiatów Ostojo drzew
fundamencie przyrodniczego
bytu O Ziemia niszczone
bezlitosną chemią
żelastwem apokalipsy
ludzkiej chciwości
Bądź pozdrowiona Rodzicielko
Bądź nam miłościwa
miłością Ojców – Oraczy
i Matek pod dotykiem
których dojrzewają
miody i tryska
mleczna rzeka

1 XI 2001

Nauczyć się od ziemi
cierpliwości trwania
bycia sobą
zawsze i wszędzie
nauczyć się
jej ciepła i chłodu
sytości i głodu
umieć jak ona
znosić chwasty
i rodzić owoce

1986

Pomówić z bocianami
o rychłym odlocie
dotknąć jaskółki
w przelocie
poznać szorstkość
rudej sosny
i aksamit
białej brzozy
rozgrzać się
sierpniowym słońcem
przed szarugą
już jesiennej pory
nappełnić oczy snem
i blaskiem
dorodnego księżyca

Objąć
klejnot gorejącej ziemi
poczuć jej smak
i aromat
pojąć
jej żyzność
i płodność

1986

czy ta piaszczysta
z cierniem
ziaren w skórze
czy ta ciernista
urodą tarniny
czy lepka potem
czy rześka od wiatru

wszystkie drogi
prowadzą
do ciebie

1988

Kurczy się
mój świat
w wielkość
twojej dłoni

Młodość
trzeciego wieku
klejnot kryształu
w obręczy lasu
i zielonej łąki

z mgły snuję nitki
z szuwarów plotę koszyki
i wtykam wewnątrz
rozbiegane echo
 jak spokojnie głos niesie
 wieczorną godziną
 coraz dalej
 coraz bliżej
 do ptasich gniazd
 do gwiazdy nieba
i do ciebie

Jeszcze jeden dzień
w błękitnym upale
w zadumie
odlatujących ptaków
ciężkim locie kuropatw
w zaciszu starorzecza
i bogactwie
króliczego stada
 mierzony
 marszem bocianim
 i gejzerami słomy
dzień bliski
jak dotyk wiatru
i daleki
jak przypadkowa śmierć
w pożodze sierpnia

1986

Według mnie miłość
jest łzą sosny
zastygłą w okruch bursztynu
tyle w niej słońca
i taki bezmiar trwania

Jak znaleźć bursztyn
w piasku codzienności
aby go rozgrzać
ciepłem naszych dłoni

Gdybyś był ziemią
 chcę być twoją solą
Gdybyś był światłem
 chcę być twym odbiciem
Gdybyś był ogniem
 chcę być jego żarem
Gdybyś był morzem
 chcę być choćby kroplą
Gdybyś był drzewem
 uczyn mnie korzeniem
Gdybyś był Bogiem
 pamiętaj me imię
Gdybyś był śmiercią
 pójdę na skinienie

Przez tyle lat
wiązaliśmy nitki
tkali barwne i szare
desenie

Nitki słabe i silne
jakże często zrywane
razem ze skórą

A jednak
wszystkie
bez względu
na fakturę
zwinęły się
w węzeł gordyjski
nie do przecięcia
przez żadne z nas
chyba...

I wykazał to
moment pożegnania

14 XI 1985

Tę miłość zrodził
czerwcowy zmierzch
kryliśmy ją w sobie
kryliśmy w szczelnym cieniu
lśniła w tym cieniu
jak najczystsza łza

żegnaliśmy ją
u progu najdłuższej nocy
zgasła jak meteor
podniósł ją
upadły anioł
i roześmiał się
w głos

28 IX 1988

1993

Ujrzyć głęboki śnieg
zapaść się weń
 po szyję
Łowić słońce
wpadające do Wisły
 wieczorem
Iść ulicą Czarodziejską
podczas jesiennych
 cudów
Widzieć rozkwitłą różę
 w ogródku działkowym
Dotykać Twych dłoni
 o świecie
Jak łatwo sprowadzić marzenia
do wspólnego mianownika: życie

Każdy z nas
nosi z sobą
kłębek Ariadny
tyle
że służy nam
w starości
i wiedzie
w labiryncie dni
ku tym najwcześniejszym

Spływa wieczór
gwiazdą betlejemską
na schylone w ukłonie
 topole
ogarnia domy i ludzi
i stęsknione za śniegiem
rozorane pole
milkną ptaki
milknie wiatr
 w przelocie
dźwięczy cisza
łodu sopłą
na spotkanie nocy

24 XII 1992

Złocony orzech i różowy anioł

1

Białą płomieni
rozgorzało niebo
Nędzę stajenki
okrył mroku dym
wonnością ziela
zapachniało siano
surowość ziemi
pokrył gwiazdny pył
Zdjęte zadumą
opadały gwiazdy
wieszcząc narodzin
Chrystusowych cud

Tylko człowieka
nie wzruszyła chwila
Tylko człowieka
wciąż otacza chłód
Dla niego dłuży się
droga do nieba
Jego wciąż drażny
niespełnienia głód

2

Na początku
padło słowo
i płynie

rzeka wspomnienia
złocisty orzech
w objęciach gałązki
różowy anioł
w sukience z bibułki
dzień pełen słońca
jarzącego mrozem
w zgiełku straganów
i łaknących dłoni
mglistych tajemnic
nieuchwytnych przeczuć
(ponoć się spełnią
w nadchodzącym roku)
Dzień wigilijny
ostatni w stuleciu
błyszczący światłem
świeżego poranka
zakwitł nadzieją
której nie ma końca

I miną lata

Znów będziemy mali
pośród śnieżystej
tajemniczej dali
A z nami orzech
w objęciach gałązki
różowy anioł
w sukience z bibułki

24 XII 2000

Kiedy grudniową nocą
brnęłam w zaspach
by zdażyć z Ojcem
na wigilijną wieczerzę
w odległej leśnej sadybie
łasił się do mych nóg
odwieczny strach przed wilkami
nie mogły mnie dopaść
ani one ani żadna
zła przygoda
moja dłoń bezpiecznie tonęła
w twardej prawicy Ojca
jedynej ostoi
w dalekiej drodze
do ciemnego lasu
i osypanej diamentowym księżycem
przydrożnej choiny

14 XII 1994

Dziecięca zima w Bieszczadach

Lutowy śnieg
wybiela dziecka drogę
Bóg obdarzył je życiem
i codziennie krzyżuje głodem
a Matka Boska Gromniczna
błądzi wśród zasp
i gromnicą wabi wilki
stopy
kruszą szron
bolą uszy
w podmuchach zawiei

1993

Matka...

Pierwsze ciepło
po termicznym szoku
urodzenia
pierwsza kropla
na łaknących wargach
i atlas skóry
pod dotykiem dłoni
pierwszy błysk światła
w niewidomych oczach
i szept imienia
wypowiedzianego
niepowtarzalnym głosem
pierwsze schronienie
w kolebce ramion
i sen bezpieczny
w bezmiernej ciemności
Matka
szczęśliwa wyspa
pośród oceanu
gdy się doń zbliża
znużony rozbitek
i wszystkie skarby jakie czekają
w oazach pustyni
na spragnionego tułacza
Matka
ta jedna wieczna dla ciebie
i w tobie żyjąca
w niepokoju nocy
i ulewie słońca

...i dziecko

Takie małeńkie
a przestania świat
bliskie do bólu
i dalekie
jak znikający punkt
za horyzontem
niewidzialna nić
silniejsza niż czas
i śmierć

21 V 1996

Mirtowe drzewko
w domu starego człowieka
Jakże rozrósł się mirt
z okienka mojej Matki
gdzie czekał
na postrzyżyny
z okazji
kolejnego wesela
ścięta mirtowa gałązka
wróżyła nowożeńcom
długie lata życia
w zdrowiu i pomyślności
O szczęściu nie było mowy
Wiedziano że nie wyrośnie
na mirtowym drzewie
a nawet w mirtowym lesie

14 XII 1994

Złota Matko Częstochowska
czemu nie napełniłaś
miłością
serca mojej Matki
Najbliższe
a przecież tak odległe
żyłyśmy
na tej ziemi
niby odrzucone
przez stado
wilczęta
w śnieżnej głodnej
nieogarnionej
przestrzeni

Częstochowa, 5 VII 1990

Przyływasz do mnie
i odpływasz
w szklanym boksie
członie rakiety

Pierwszy osiadł miękko
w Oceanie Burz
w drugim
zamknięty smugą
w krawędzi sześcianu
stygający okruch
w uścisku żywicy

samotnie pokonujesz
niewidzialność

Nie mogę przeniknąć szkła

Byłam małą dziewczynką
w gorzkiej wodzie brodziłam po kostki

Byłam młodą dziewczyną
gorzka woda sięgała po pas

Byłam młodą kobietą
gorzka woda dosięgała piersi

Jestem młodą staruszką
gorzka woda zalewa mi oczy

Poznałam trud rodzenia
ból rozstania
cierń miłości
dno rozpaczy

I cieszę się
świtu wschodem
pierwszym stąpieniem
śnieżyczką w marcu
i sobótką w czerwcu

Nie zabijajcie
mojej radości

Chciałabym
oprawić bursztyny
Zamknąć w srebrze
pojedyncze łzy

Rozmowa Marii z nocą

Pamięci Marii Radzikowskiej

Mówili wszyscy że jesteś czarna
a ty masz tyle odcieni

Ale nie jestem kolorowa

Czasem jak łąka na wiosnę

Bo chcesz widzieć wiosnę

Pewnie że chcę ale teraz zima

Zima? ponad czternaście stopni
w słońcu nawet siedemnaście

Może dlatego że mnie stale zimno

Nie przesadzaj przecież nie drżysz z zimna

Ja nie tylko moje ręce

Podaj dłonie moja czerń jest ciepła

A nogi
tak trudno je rozgrzać lodowate
A głowa

Już ją otulam aksamitem wnętrza
Pomyśl zasypiasz latem

Jestem tylko twoją nocą
Wszystkimi miesiącami roku
już nie jesteś sama
w tę zimową porę
ogarnia cię jasność a nie cień
bądź spokojna i szczęśliwa
jam twoja najpiękniejsza noc
twoja cisza i siła
nie mówisz a możesz oczyma
powiedzieć wszystko
słyszę cię i rozumiem
przybywam twoja najwierniejsza
przyjaźń i ostoja
jestem patrzę wprost
w twoje oczy
i słucham
daj znak

4 I 1988

Tęsknota

Rdzawieje liśćmi
 Vogelbeere
(to taka niemiecka
 kalina)
krwawi kroplami
 strącanych
 korali
powleka zmierzchem
czapy ogrodowych grzybów

I spała

W jaskrze lampy
płonie ćma

Odchodzącej

Joannie Salamon

Wiem, że wszystkie kąty
zakrywa mrok,
że skrzypią pod stopami
deski parkietu...
że dźwięczy cisza,
że w skroniach młot.
I tylko myśli wybuchem
od czasu do czasu.
I tylko w gardle
natłok niewypowiedzianych
słów.

Tych o miłości:
„obiecuję Ci – ostatnim tchnieniem
obejmę Ciebie ufnie i pokocham”.

Jeszcze nie gotowa,
aby je powtórzyć...

Teraz jestem z Tobą
w trwałej wspólnocie.

1 XI 2001

Czarna kobieta z naprzeciwka
ciężko skłoniła głowę
zahukała sowa
zawołał lelek
przez twarz księżycą
przemknął cień
nad zroszoną łąką
zadźwięczała kosa
z żalu
drży osika
To ona rankiem
wypuściła z dziupli
śmierć

Oboły, 26 VIII 1991

Za oknem
ptak balansuje
na gałęzce
bada siłę i słabość
liścia
jego trwałość
i znikomość
Wzmaga się
i opada nadzieja

19 VII 1999

Nie jestem biegła w tajemnicach duchów

Gidze

4

Zielonym tatarakiem
okryłaś polanę
wysoko wzniosłaś
wieżę Babilonu
spojrzałaś wokół
z najwyższego szczytu
i rzekłaś do jaszczurki
pełnącej wzdłuż ścieżki
„nie mogę ci zapomnieć
że zostałaś gadem”

Moja ty
piękna przyjaciółko
w lesie tataraku
(ma zieloną skórę
powleczonej jadem)
martwa naturo
w obrazie Vermeera
ścięty słoneczniku
na płótnie van Gogha
arcydzieło
natury
na pohybel śmierci
tnącej ukośnie
i ciągle
od nowa

Ty pozostaniesz
w świeżym tataraku
na obrazie Mistrza
i w załączku słowa

24 VII 1998

II
To Ciebie
żegnam Gigo
w ostatniej
świętej
godzinie milczenia
Twoją siłę i piękno
Wiem
że nigdy
nie przeminą
Dopóki życia
pamięci i trwania

30 X 1998

III
Pięć purpurowych róż
każda oznacza dziesiątkę
szczęśliwych (czasem nie) lat
i wróży...
jak zagospodarować łóżko
i znaleźć najwygodniejszą
pozycję
by bez przeszkód oglądać róże
i ich zapachem wypełnić dzień

27 VII 1997

IV

Nie jestem biegła
w tajemnicach duchów
Nie mogę obudzić w tobie
nadziei na wieczne
pośród nich bytowanie
Przypomnę ci tylko
jak śliczne są
świeżo umyte włosy
dłońmi naszych
jeszcze zdrowych córek
Jak ich lśniący błysk
ubarwia życie
choćby trwało
zaledwie kilka oddechów

5 X 1998

V

Świat luźnych kresek
pełgających cieni
zanikających linii
czarnych pulsujących
punktów
i mrocznych plam
obumierający świat
a jeszcze
pełen barw
złotego brązu
pod ulewą deszczu
czerni asfaltu
pod butami opon

Jesienny kwiat
umierający świat
martwiejący wiatr

Hospicjum, 15 X 1998

VI

Witraz na niebiesko
ubarwia kaplicę
Chrystus na krzyżu
szeroko rozwarł ramiona
niemo zachęca
by przekroczyć próg

Pod palmami
osiada spokój i cisza

14 XI 1998

VII

Jak cię pożegnać
łotna błyskawico
ciemniejąca gwiazdo

Mroźno
a ściany dygoczą
gorączką
cierpienie rozsadza mury
a w korytarzu
czysta cisza
za oknem
ciepło złotej chryzantemy

Hospicjum, 11 X 1998

VIII

Jeszcze dłonie
mżą ciepłem
Jeszcze bólem
poświadczasz istnienie
Tylko ściana milczenia
się zbliża
Tylko ściana
osłania twój cień
Tylko ściana
odślania twój sen
najdłuższy sen

12 XI 1998

IX

Kończysz swój bieg
pośród tataraków.
Już spokojna i nieruchoma
spoczniesz pod kamieniem
jak wszyscy, którzy
osierocili szlak.
Tak długo oswajałaś się
z białą towarzyszką
aż ujęłaś ją pod ramię
i pokonałaś
granicę istnienia.

14 XI 1998

Sen

Panu Doktorowi Bogusławowi Bruksowi

W mglistym, styczniowym
poranku
o siódmej trzydzieści
jak zwykle
pojawił się Pan Ordynator
w sali 324
– Czy mogę zadać Panu
pytanie?
Ozwała się jedna z pacjentek.
– Proszę bardzo – odpowiedział.
– Przybył Pan do nas
ze złotem w sercu
z mglistej Brytanii?
Zielone jest złoto Brytanii
jak nadzieja – powiedział.
Wczorajszy atak duszności
to zwyczajność
w niedomodze płuc.
Kamiennie zastygają
listki drzewa oskrzeli.
Eufilina jeszcze
przywróci im życie.
I odwiedzi pani
wrzosowe łąki Brytanii
w następnym liliowym śnie...

22 I 1998

W Boże Ciało

Im wyżej
wznosi się monstrancja
tym ciszej
umierają pod stopami
kwiaty

18 VI 1992

W tym samym dniu
zamknęła oczy Babcia
tego samego dnia
ujrzał świat prawnuk
Taka sama wiosna
tak samo zakwitały jabłonie
i perliły się kwiatem
pachnące akacje
Babcia żegnała dzień
prawnuk witał wieczór
tym samym
pierwszym i ostatnim
tchnieniem

19 IV 1996

Kropla milczenia

na rany otwarte
krzywdy piekące
urazy zapiekłe

kropla milczenia

na radość
kiedy się kończy
na szczęście
gdy się zaczyna
na śpiew milknący
w melodii wieczoru

kropla milczenia

na słowo
w gardle więzione
gdy uśmiech
w oczach zamiera
gest opadłej ręki

kropla milczenia

na zachwyt
który poraża
na lęk
paraliżujący
na klęski
którym nie ma końca

na słabość
której nie rozumiesz
i lukę w pamięci
olbrzymiejącą
na plotkę
wszechogarniającą
i liść
kiedy sfruwa
z martwiejącego
drzewa

kropla milczenia

na serce gdy ustaje
a człowiek umiera

kropla milczenia

7 / 1997

Dlaczego o północy
stukasz do drzwi
Małgorzato Hillar?
Wiem, że wyobraźnia
rozsadza gładko uczesane
myśli,
wyprostowana postać
ukrywa szum skrzydeł,
blade, niewidzące spojrzenie
ledwo muska dzień
pełen poziomek
i zielonej poświaty.
Irysy padają do stóp,
szczupłe palce
rozpuszczają warkocz.
Okrywasz nim
wszystkie wariatki
ziemi.

Obory, 20 VIII 1999

Dźwięk słowa
dźwięk ciszy
i milczenie kropli
gdy spada
z ostatnim tchnieniem
ściętej trawy
w błysku poranka

Z pytań bez odpowiedzi...

Lęk kamienia
ból kamienia
krzyk kamienia
w milczącej pustce
ziemi i nieba
Może dlatego
powstają pomniki
by mogły unieść
cierpienie bez miary
które tylko kamień
udźwignąć zdoła?

.....

Nocą rodzi się mgła
To oddycha ziemia
ciężkim westchnieniem
po przeżyciach dnia.
Krople potu
parują cząsteczkami
i płyną falami
ku ciepłiwemu niebu
które czeka
z uchyloną furtką.
Na nas?

2 XI 1997

Jesień przed bramą

Purpura szalwi
w objęciach donicy z kamienia
i krzew samotny
zarzewie marzenia

Jesień oddechem
gasi ciepło słońca

I cisza wokół
bez granic bez końca
cmentarnej gali
tuż przed świętem zmarłych

I lot ptasiej rzeszy
niski jak przed burzą
A dni powszednie
dłużą się i dłużą

10 X 2000

Sztuką jest nie tylko życie
także umieranie

Nauczyć się umierać
od liści kasztana
złotym deszczem spływających
w szary piasek ziemi

od owoców klonu
jakże lotnych
w swojej
ostatniej godzinie

I od dębowych żołądzi
gorzkich też po śmierci

Wzbić się
nad staw
wirem warkocza
dojrzeć wszystko
co kryje
pulsująca woda
i ciężka bogactwem
ziemia
wzlecieć
i opaść
jesienną wilgocia
na pożytek
ogrodom i drzewom

1986

Zachyboczę wątłym płomykiem
wśród oddechu miliona świec
upadnę liścia westchnieniem
na bezdroża alejki

kropla wosku wydrąży
mały otwór w trumnie
spłynę ciemną smużką
w ciepło ziemi

wiatry będą czesały drzewa
słońce będzie pielili chwasty

moje oczy poczernią tarninę
krew jesienią zaczerwieni głogi
kościel wzmocni pochyloną sosnę

Non omnis moriar

Chciałabym
zabrać z sobą
zapach wieczoru
na leśnej polanie
aksamit trawy
pod stąpnieniem stopy
dotknięcie nieba
i dziecięcej dłoni
smak gorzkiej
 szałwi
krzyk klucza
 żurawi
oszronioną
drabinkę pająka
aby zejść znowu
na spotkanie
z Tobą

Cień Ozyrysa

Sluchajac „De Aegypto” Ezry Pounda

(fragmenty)

VII

Łan się pod deszczem

słania

bezbronne przyjmuje

grad

ziarno na umór spite

pęcznieje wypada

z ram

Już się nie złoci

pszenica

srebrzyste żyto

pokrywa rdza

Dzień w dzień

mżawka siąpi

dzień w dzień

gęstnieje mgła

Smutnym polem

krocysz ciężko

Ozyrysie

zboża powlókł

twój mocarny cień

żeńca śpiewu

nigdzie nie usłyszysz

w mroku utknął

obolały cień

ptasi orszak

opadł w gęstwą tarnin
przytłumiły
ich beztroski gwar
nad mokrymi łąkami
nad polem
Twoim cieniem
rozciąga się żal

I słotne lato trwa
nieba nad ziemią
lża

Obory, 1-7 VIII 1996

VIII
Czy to tylko
mój cień
czy już
schroniłam się w Twoim
Ozrysie
Pełno w tym cieniu
jasności nie do
nazwania
nadziei napięcia
i tęsknoty za tajemnicą
której nie pojmie
świadomość
bo
tak rozproszona
między gwiazdami
na nocnym niebie

w zapachu wody
rybnych stawów
i łąki usianej
płatkami stokrotek
dziś jeszcze zielonej
ale wkrótce rudej
niczym wiewiórcza
kita
przesycona słońcem
w migotliwym biegu
do kolejnego
śpichlerza
laskowych orzechów
Zbiera je
i gubi nieustannie
jak człowiek
gdy zostawia wszystko
kiedy zmierza
ku świetlistej mecie
jak Ty
ku wieczności

Ozyrysie

12 VIII 1996

Przedwiośnie

Łysinę lasu
czesze uparty kapuśniak
Pełzną w dolinę
strumienne ulice
powiewają nad głową
chusty nieba błękitne
chmury plamią je
pierzem i solą
śnieg ze wstydu
kryje się w rozpadlinach
i dołach
a marcowym confetti
czarno-białe jaskółki
zasypują
jeziora i pola

Na tyle głosów
 śpiewa łąka
na tylu gałęziach
 wirują liście
i tańczy lotem
 utrudzony ptak
i tyle chórów
 słyszę w nocnej ciszy
i tyle westchnień
 przerywa sen
garściami chwytam słowa
rozpędem wpadam w ciszę
nawijam kilometry
na zmęczone nogi
zawijam
wokół szyi wiatr

z całych sił
chłonę życie

1986

wędrowanie czarnym szlakiem
– po rumowisku roztrzaskanych sosen
wędrowanie białym szlakiem
– przez tunel wyschniętych potoków
wędrowanie szlakiem czerwonym
– pozdrawia nas ciepło kalina
wędrowanie szlakiem zielonym
– nie wetkniesz szpilki
 w świerkowe poszycie
wędrowanie: nocą i o świetle

Tęczowy most
nad ciemnymi olchami
wiódł
srebrną łątkę
prosto
w płonący krzew zachodu

Spopiełał zachód
przytyła łątką
w olchowych dziuplach
hukają sowy
spalone skrzydła
leczą
w błoto

Płatami opada cisza
na mój lęk
i pamięć

Niedługo stanę jak bałwan
nad przerębłą wspomnień

Dźwigam
wiązkę chrustu
w lesie zebranego
To nie ja
niosę brzemię
to ono
mnie wiedzie
ścierniska bezdrożem
i grudniową drogą

A kiedy je zrzucam
pod drzwiczkami pieca
to nie ono
to ja
w palenisku płonę
żywym ogniem palą
ramiona strudzone

Ptakiem ulecieć
choć skrzydła nie te
sercem zrozumieć
wichrów zawieruchę
nie dać się burzy
porwać w czarną nicość
dostrzec jej ciszę
i pogodę błysku
kiedy nad nami
piorun ciosem się unosi
ptak wszystko zniesie
ptak wszystko oswoi
ptak do gniazda
wróci
choć się burzy boi

12 II 1996

Czarna Święta

Krata okna
wyznacza podium

W baniastej cerkiewce
wirują w pyle
ruskie czarne święte
strącone anioły
mojego dzieciństwa

Jedna opętała katolika
kłaniał się w cerkwi
haftowi ręcznika
zaprzedał duszę diabłu
spluwano gdy przechodził

Wrastał w lepiankę
jak grzyb
wypluwał płuca
w ścianach pod ikonami

Czarna Święta
mówiła śpiewnie
błagała o pracę
zamknięte uszy katolików
mełła w żarnach
upuszczone przez kłosy ziarna
rodziła samotnie dzieci
Na czarne głowy
kładała wianki

z kolorowej słomy
(rozjaśniając gasnące
oczy odszczepieńca)
Pogrzebała go
pod święconą wierzbą

Rękami czarnymi
od brudu cudzych podłóg
hodowała dzieci
były czyste i ciche
są katolikami

A Czarna Święta
dzisiaj siwa święta
nadal czuwa samotnie
w lepiance pod ikonami

1969

Dom

ścianami ogradza
taką małą ciszę
nad wzburzoną ulicą

sprzętów milczeniem
wchłania nasze klęski
zna tylko nam znaną
niszczącą twarz

oknami
mruga przyjaźnie wieczorem
kiedy dźwigamy
koszyk pełen dnia

Co boskie we mnie
Twoim jest Panie
skryte głęboko
w przedziwnym śnie
Obce dla świata
jasne dla stworzeń
niezrozumiałe dla
samej mnie
Jawi się we dnie
ożywa nocą
każe się cieszyć
minutę dwie
cichnie jesienią
wybucha wiosną
ciągle ku innym
skłania mnie
A może tylko
żyję snem?

7 VIII 2001

A Miriam pośród jaskółek

1

A Miriam pośród jaskółek
słucha zwiastowania
Białe czoło w chmurach
w jej oczach pokora

Anioł już odleciał

W półmroku zaduma
nad cudem poczęcia
radością rodzenia
męką umierania
darem zmartwychwstania
Przesuwa się taśma
w rytmie przeznaczenia
wirują jaskółki
ponad głową Miriam
Na ziemię spływa
spokój odkupienia
wyłania się wiosna znad konturów cienia

2

A Miriam płacze różami
w dalekim Rosario
Jej łzy za szklaną przesłoną
toczą się wolno
po policzkach rzeźby
i tchną zapachem
ledwie skoszonej łąki

zasianej różami
Pierwsza łza spłynęła
w dniu 8 grudnia
w imieniny Marii
dniu niepokalanego poczęcia
Teraz płyną wąską
strużką alabastrem twarzy
do samego serca
rozmodlonych kobiet
wzywających cudu

3

A Miriam miała tyle mocy
że trwała jeszcze o północy
przy bólu krzyża
przy krwi Jezusa
spływającej miłością
„żadnych słów ni żadnych głosów
krew z korony Bożej spływa
wobec ziemi i niebiosów
stała Matka Boleściwa”

Miriam u stóp Krzyża

25 III 2000, 8 III 2001

W cieniu skrzydeł
zgromadził anioł
całe światło nieba
I teraz rozsiewa
po ziemi
złociste naręcza
pierwiosnków

29 III 2001

Adwentowe noce
coraz ciemniejsze
adwentowe czuwanie
coraz niecierpliwsze
I tylko niezmiennie trwa
odwieczna tęsknota
za jasnością dnia
i jednoznacznością
dobra i zła

14 XII 1994

Ujrzeć swoją prawdę
jak hostię w monstrancji
dostrzec jej zarys
w blasku ornamentu

uchwycić kształty
w pulsowaniu światła

nie dać jej zginąć
w migotliwym cieniu

Chwytałam świetliki
gasły
gdym zamykała dłonie

I w czym
jestem
do ptaków
podobna?

Tak samo jak one
nie zapomnę
wyrzucenia z gniazda
Jak języki
nie potrafię
dreptać po murawie
bo moim
przeznaczeniem
przestwór błękitu
i taniec wśród
 planet
tych nie odkrytych
i na nazwanie
oczekujących

Tym trudniej żyć
na zmarzłej
grudzie
wśród umierających
 traw
tym trudniej
wśród tych
co wyrzucili
 z gniazda

Moja miłość majem ukwiecona
Moja miłość palmami witana
Moja miłość jak chusta zdeptana
Moja miłość szyderczo oplwana
Moja miłość rozpięta na krzyżu
Moja miłość żółcią napojona

Moja miłość pośród łotrów kona

Na rogu ulicy
spotkałam Boga
Niósł Go w dłoniach
ksiądz do chorego
Minęliśmy się
bez słowa
A przecież
chciałabym Panie
byś uniósł w górę
moje serce
Pora by przestało
kamieniem spadać
ku ziemi

Przydrożna kapliczka
spękana poorana
szara jak skorupka
włoskiego orzecha
wewnątrz ziarenko
to Frasobliwy

Na rozstaju
pod lasem
drogę wskazuje
wędrownym ptakom
i bezdomnym ludziom
W plątaniu pajęczyn
snuje różne losy
i oddała
złe przygody

29 IV 1989

Horyzont tkany
gwiazdnym pyłem
otwiera furtkę wieczoru

Kłębią się myśli
gasną uczucia i
wciąga bezmiar nocy
Samotny promień
wiedzie w otchłanie
galaktyk nie do
zmierzenia

wiesz że nie dojdiesz
wiesz że nie ujrzysz
a tyle do zobaczenia
I w tle tej nocy
czai się złuda
idei wielkiej i czystej

jak każda złuda
pryśnie za moment
w rozgwieździe bomby
falistej

bo czas zastawił
na nasze życie
pułapki z piekła rodem
Na niebie gwiazda?
Nie – potwór nocy
ukrywa bomby pod spodem
I padną bomby
grozą wybuchu

na przestrzeń
zamkniętą w kamieniu
I na stworzenia
a także ludzi
którzy w kamieniu
tym żyją
 Nie chcę otwierać
 furtek nocy
 przed światłem
 gwiazdy strzelistej
Chcę zostać w cieniu
gdzie można dotknąć
trawy i wody czystej

15 X 2001

I zapyta Pan:
co uczyniłaś z życiem swoim?

O Chryste – miłowałam
nieprzyjacioły moje

O Jahwe – nienawidziłam
przeciwników swoich

O Buddo – szukałam
w stworzeniach i roślinach
śladów Twoich

O Allachu – wieczne światło płonęło
w myślach moich

A w ogóle
to tak po prostu
usiłowałam być
człowiekiem

25 II 1990

Rosną we mnie
wszystkie rośliny świata
Oddycham nimi
oddychają mną
budzą się wiosną
zastygają zimą
szkoda że
nie spotkamy się nigdy
na uczcie Baranka
bowiem
umrzemy inaczej

Najpiękniej modlić się
pod drzewem
Modlitwa drzewa
jest strzelista
koroną sięga nieba
Jest najgłębsza
korzeniami sięga
samych trzewi ziemi
I jest bezinteresowna
Tylko chwali Stwórcę
własnym istnieniem

Zatem prozaicznie
sadźmy lasy
aby modlitwa
nigdy nie ustała.

Obory, 8 VIII 1994

Płaczą
ścięte drzewa
nad Oborami
gdy księżyc krąży
ponad śpiącym stawem
szkoda
że nowe
nie może być
starym

28 VIII 1988

Lubię wierzbę
rodzi się na kamieniu
rośnie nad byle potokiem
nikomu nie odmawia
szumu ani cienia
karmi ptaki
ochrania motyle
najwcześniej wita wiosnę
a najpóźniej
 zimę
łamana przez burze
chłostana przez wiatry
 żyje
ciagle żyje

11 VII 1989

Piosenka białej brzozy
nie nie traci
na swojej świeżości
choć wieki
dzieli ją od narodzin
piosenka białej brzozy
poczęta z zachwytu
nad światem
i jego
wiecznym trwaniem

14 IX 1994

Ten pochylony
nad stawem pień
z postrzępioną
przez wiatr czupryną
to bóg Sędzimir
leśny wróżbita

Wpatrzony w zamulone dno
bezbłędnie przewiduje
pogodę i deszcz
świt i noc
co do minuty
nadciągającą burzę

Sędzia pokoju
rozsądza właśnie
nakazuje zgodę
łagodzi ból
siejąc zieloną nadzieję

24 VII 1996

Stary człowiek
jak stare drzewo

Przelotnie obsiadają
je ptaki
gdy latem
owocuje pokarmem
i cieniem
Im zasobniejsze
w zaskórniaki
tym częściej odwiedzane

Odlatują zimą
Wtedy ziębi je
pomarszczona kora
i zapach starzyzny

Stare drzewo
jak stary człowiek

30 XII 1999

Rankiem w lesie

śnieżyczki
drżą z zimna
rozchylają płatki
na spotkanie słońca
przyłasczki
ścielą pod stopami
błękitno-zielony trakt
dzwonki
fiołkowymi główkami
przetykają polany
starczyki
zapachem unoszą w niebo
mnie ciebie i las

19 VIII 2000

Bukiew

migdały północy
siej bukowy las
 pulsują w czerwieni
 liściastej ulewy
 beżowymi trójkątami
 o mięszu słodkim
 twardo związanym
 trudno dostępnym
 w ostrej skorupce
gradem spadają
z dostojnej korony
księcia bieszczadzkiej krainy
sycą głód
i radują podniebienie
owoce jesienne
mocarnego buka

18 VIII 2000

Niemy potok

tak żwawo płynie
pośród leśnej gwary
jasno się perli
wśród złota kaczeńców
pragnie orzeźwić
storczyk obolały
tchnąć trochę mocy
w martwe trzęsawisko
ale zanika pośród
 żwirowiska
milknie we wrzosach
w gęstwę mchu umyka
mały potoczek
z leśnego źródelka
gasnący promyk
tamtego wspomnienia

13 IX 2001

San

mroczny dostojny
groźny głazami na dnie
toczy falami młyńskie kamienie
burzą rwie brzegi
porywa drzewa i chaty

ale gdy się uśmiechnie
przeźroczem wody
i srebrem rybich łusek
nie masz większego przyjaciela
lasów zwierząt ludzi

26 VII 2000

Zza zakrętu drogi
wyłania się
leśna sadyba
wyraźna czytelna
tablica głosi
NADLEŚNICTWO W BRZOSZOWIE
ciepły gest
bliskiej dłoni
oddech dzieciństwa
tylko tyle i aż tyle

22 V 2001

Czym poezja?
Jeśli „szept” przeczytamy
w pogodny czas –
przypomni, że za chwilę
pojawi się cień.
Jeśli w chmurne popołudnie –
przekona, że za chwilę
zza chmury wychynie
słońce.

27 I 1998

Próba definicji

Dobroć
światlistość tęczy
po ulewach burzy

Kojący balsam
na otwartą ranę

Zacisze szałas
na wędrowca szlaku

I dłoń przyjazna
innego człowieka
kiedy już nikt z bliskich
na ciebie
nie czeka

5 I 2000

Spis treści

Eryk Ostrowski - <i>Bezimienne potoki mówią</i>	5
<i>O słowo</i>	18
<i>Padu śnieg</i>	19
<i>Były niegdyś wędrówki</i>	20
<i>Jest we mnie smutek</i>	21
<i>Jest we mnie spokój</i>	22
<i>Jest we mnie cisza</i>	23
<i>Wciąż trwają we mnie</i>	24
<i>Misterium</i>	25
<i>Kiedy myślę</i>	26
<i>Ziemio naftą płynąca</i>	27
<i>Ubiczowana Ziemio</i>	28
<i>Nauczyć się od ziemi</i>	29
<i>Pomówić z bocianami</i>	30
<i>Czy ta piaszczysta</i>	31
<i>Kurczy się</i>	32
<i>Młodość trzeciego wieku</i>	33
<i>Jeszcze jeden dzień</i>	34
<i>Według mnie miłość</i>	35
<i>Gdybyś był ziemią</i>	36
<i>Przez tyle lat</i>	37
<i>Tę miłość zrodził</i>	38
<i>Barwę zmienia las</i>	39
<i>Cudownie mieć</i>	40
<i>Ujrzyć głęboki śnieg</i>	41
<i>Każdy z nas</i>	42
<i>Spływa wieczór</i>	43
<i>Złożony orzech i różowy anioł</i>	44
<i>Kiedy grudniową nocą</i>	46
<i>Dziecięca zima w Bieszczadach</i>	47

Matka...	48
...i dziecko	49
<i>Mirtowe drzewko</i>	50
<i>Złota Matko Częstochowska</i>	51
<i>Przypływasz do mnie</i>	52
<i>Byłam małą dziewczynką</i>	53
<i>Poznałam trud rodzenia</i>	54
<i>Chciałabym</i>	55
Rozmowa Marii z nocą	56
Tęsknota	58
Odchodzącej	59
<i>Czarna kobieta z naprzeciwka</i>	60
<i>Za oknem</i>	61
Nie jestem biegłą w tajemnicach duchów	62
Sen	67
W Boże Ciało	68
<i>W tym samym dniu</i>	69
Kropla milczenia	70
<i>Dlaczego o północy</i>	72
<i>Dźwięk słowa</i>	73
Z pytań bez odpowiedzi.....	74
Jesień przed bramą	75
<i>Sztuką jest nie tylko życie</i>	76
<i>Wzbić się nad staw</i>	77
<i>Zachyboczę wątlym płomykiem</i>	78
<i>Chciałabym zahrać</i> ...	79
Cień Ozyrysa (fragmenty)	80
Przedwiośnie	83
<i>Na tyle głosów</i>	84
<i>Wędrowanie czarnym szlakiem</i>	85
<i>Tęczowy most</i>	86
<i>Platami opada cisza</i>	87
<i>Dźwigam wiązkę chrustu</i>	88

<i>Ptakiem ulecieć...</i>	89
<i>Czarna Święta</i>	90
<i>Dom</i>	92
<i>Co boskie we mnie..</i>	93
<i>A Miriam pośród jaskółek</i>	94
<i>W cieniu skrzydeł...</i>	96
<i>Adwentowe noce...</i>	97
<i>Ujrzyć swoją prawdę...</i>	98
<i>Chwytałam świetliki...</i>	99
<i>I w czym jestem...</i>	100
<i>Moja miłość...</i>	101
<i>Na rogu ulicy...</i>	102
<i>Przydrożna kapliczka...</i>	103
<i>Horyzont tkany...</i>	104
<i>I zapyta Pan...</i>	106
<i>Rosną we mnie...</i>	107
<i>Najpiękniej modlić się...</i>	108
<i>Plączą ścięte drzewa...</i>	109
<i>Lubię wierzbę...</i>	110
<i>Piosenka białej brzozy...</i>	111
<i>Ten pochylony nad stawem...</i>	112
<i>Stary człowiek...</i>	113
<i>Rankiem w lesie</i>	114
<i>Bukiew</i>	115
<i>Niemy potok</i>	116
<i>San</i>	117
<i>Zza zakrętu drogi...</i>	118
<i>Czym poezja?</i>	119
<i>Próba definicji</i>	120

Książki poetyckie Anny Kajtochowej

Sytuacje

Beskidzka Oficyna Wydawnicza BTSK
(Biblioteka „Nadskawia”); Bielsko-Biała Wadowice 1983

Krawędź

Oficyna Wydawnicza Związku Podhalań
(Biblioteka „Nadskawia”); Nowy Sącz 1986

Uroda tarniny

Oficyna Konfraterni Poetów; Kraków 1990

Sytuacje II

Kraków 1992

Usiłowałam być człowiekiem

Krakowski Klub Artystyczno-Literacki; Kraków 1994

Krzyk lelka

Wydawnictwo PiT; Kraków 1995

Stygnąca kipieli

Wydawnictwo PiT; Kraków 1995

Cień Ozyrysa

Wydawnictwo PiT; Kraków 1996

Ogród ostów

Oficyna Konfraterni Poetów; Kraków 1997

Tabliczka dawno roztrzaskanej prawdy. Wybór wierszy

Wydawnictwo PiT; Kraków 1998

Nie jestem biegła w tajemnicach duchów

Wydawnictwo PiT; Kraków 2000

Żyję snem?

Wydawnictwo PiT; Kraków 2002

Bezdrożem ścierniska

WiR Partner; Kraków 2003

